

artylerję swą na dzwona, jął harcować niemi a podjeżdżać zawadyacko. Aż śmiałością swą zaraził przeciwnika, bo i ten wzięwszy na ambit, wysunął raptem cztery armaty i zaczął Bema podchodzić.

Bem snąc się stropił tym atakiem i cofnął pospiesznie. Cztery armaty nabrały jeszcze większego impetu, bo poszły do pościgu i odprzodkowały tuż za plecami Bema. Ale nim wycelowały, baterie Bema zawróciły i odwrót armatom przecięły. Zdobyć była niewielka, bo kanonierzy rosyjscy dwie zdążyli zagwoździć — a kilkunastu żołnierzy ująć ku swoim — lecz w zamian pojmany został młody pułkownik sztabu, co na ochotnika z armatami się wysforował. Co najważniejsze, przy pułkowniku znaleziono papiery i służbowe rozkazy, z których wynikało, że artylerja feldmarszałka mogła mieć już tylko na jeden dzień szturm amunicji.

Bem wysłał z tą wiadomością Orlikowskiego do zastępcy wodza a sam nowy szyk armat sprawiał. Bo i gra teraz wielka iść miała. Feldmarszałek nie chciał puścić płazem czterech swoich dział. Dwieście armat ustawił półkolem na Bema.

Generał odpowiedział dwiema liniami, załamanymi w tył pod kątem, którego wierzchołkiem był granatnik Dziurbackiego.

Bem w środku szpiczy trójkąta ogarniał nieprzyjacielskie pozycje — gdy naraz dojrzał na schronie dawnej reduty Ordona lśniąca gromadkę oficerów.

Generał pochylił się z konia ku celującemu wachmistrzowi.

— Hej — Dziurbasiu — patrz tam, nieco z lewej, na reducie... feldmarszałek!

Profos raczej odgadł niż dosłyszał, chwycił za wysówkę i prowadził nią długo — aż wypalił długim nawiasem. Kula skryła się za kłębem dymu... Feldmarszałek upadł.

Bem zaparł na reducie lunetę i widział, widział wyraźnie, jak Paskiewicza podźwignięto i prowadzono... Nie zabito był, lecz skaleczony.

Generał chciał skinać na wachmistrza i coś doń się ozwać, gdy wtem granat nieprzyjacielski pękł tuż i bryznął złomami. Koń pod Bemem skreślił się — Dziurbacki legł porażony kontuzją.

Morderczemu pojedynkowi artylerji zaczęła sekundować piechota. Chmary batalionów rzuciły się do ataku, nawiązując dziesięć naraz różnych bitew. Lecz najgwałtowniejsza na razie wynikła pod redutami, broniącymi miasta od strony jerozolimskich rogatek.

Bem nie miał teraz stałej pozycji, bateriami swemi raz mitygował zacieklność Finlandczyków, którzy pod wodzą Murawiewa imponować chcieli grenadyrom Szachowskiego, raz dziesiątkował kirasyerów — to znów stał pole czerwonymi mundurami lejhbuzarów. Raz Gorczakowa wyzywał na armaty, to znów osadziwszy Pahlana, Kreutzowi dobierał się do skrzydła.

Bem był nieustannym ratownikiem, odsieczą, ocaleniem, wytchnieniem. Sam docierał wszędzie, sam w największym stawał ogniu. Dwóch adjutantów stracił, trzeciego dosiadał konia, po dwakroć kula karabinowa rozorała mu dawną bliznę na prawej nodze. Kazał kanonierowi przewiązać sobie nogę gałganem i tyle się o nią kłopotał.

Aż Bema niepokój ogarnął, lęk, strach bezmała. Żołnierze polscy walczyli, jak lwy... ale szeregi ich grobowe zalegało milczenie. Ani jeden okrzyk zadufania z piersi ich się nie wyrwał, ani jedno zawołanie tryumfu na znak udaremnionego ataku. Toż samo uczucie nurtowało i oficerów i generałów. Umiński, Bogusławski, Milberg, Dębiński pod gradem kul ani drgnęli. Jagmin szarżował bez wytchnienia. Muchowski z brygadą, nawet jednego nie stanowiącą pułku, opierał się korpusowi. A przecież i ci dowódcy i ci nawet byli, jak ludzie, co urągają śmierci dlatego, że z nią się pogodzili, jak ludzie, co wyrzekli się wszelkiej tęsknoty, co dziesiątkowali nieprzyjaciela dlatego, że żyli jeszcze...

Na chwilę tej trwogi Bema dotarł doń wreszcie podpułkownik Orlikowski.

— Co — jak — cóż wódz? Doręczyłeś pan papiery?

Orlikowski skinał apatycznie.

— Doręczyłem.

— I cóż na to? Niesłuchanie ważne! Nieprzyjacieli musi szturm zaniechać.

— Im tam, generale, wszystko jedno. Już archiwa na Pragę wywożą. Warszawa przepada!

— Co do krośset podpułkownik!!

— Bo tak! Nam każą zdychać a sami precz z parlamentarzami się prowadzą. Berg znów przyjechał!

Bema żgnęło. Chorzewskiemu kazał komendę artylerji wziąć a sam, co koń wyskoczy, pogalopował wprost do Sejmu, do Zamku.

Tu szczęście Bemowi sprzyjało, bo w przedśionku spotkał Krukowieckiego z Prądzińskim.

Jednym tchem rzucił Bem wiadomość o niedostatku amunicji.

Krukowiecki jakby go nie słyszał. Prądziński skrzywił się pobłaźliwie.

— Są to pozory ludzkiej przewagi. Byłem w kwaterze rosyjskiej, nawet mi oczu nie zawiązano. — Ośmdziesięciu pięciu tysiącom nie możemy się oprzeć we dwadzieścia!!



Generał pochylił się z konia ku celującemu wachmistrzowi.

— Lecz skoro dotąd nie przyjęliśmy rozejmu, więc...

— Uchwała zapadnie lada chwila...

— W niekorzystnych warunkach. Jeszcze cały dzień wytrzymamy! Amunicji mamy zadość. A jeżeli Ramorino nadejdzie...

— Ramorino otrzymał rozkaz czekania w Kałuszynie — więc nie nadejdzie!!

— Generale! — Rozpoczęliśmy bitwę od odebrania czterech armat, mam pewność, żeśmy ranili feldmarszałka...

— I otóż kapitalne się stało głupstwo! Ranił się go w rękę i stąd w taką wpadł pasję, że gdyby nie książę Michał, toby o układach słyszeć nie chciał...

— No ale generał przeprosił go za płochość ogniomistrza...

— Nie potrzebuję zdawać generałowi sprawy!

— Do pioruna — nie takiego mniemałem doczekać się po panu kwatermistrzostwa!

— Nie jestem kwatermistrzem.

— Hrabio generale! — A pan — pan?! — Na Boga — toć nasi, nasi walczą o każdą piędź ziemi, giną... Jeden wyraz, jedno zawołanie władem jest podwoić ich zapal, dać im wiarę, że istotnie mają

coś do bronienia... Hrabio generale — toć jesteś prezesem Rządu, jesteś dyktatorem!

Krukowiecki utkwiał wzrok w ziemię i odparł głucho.

— Podam się do dymisji.

XXV.

Noc zapadała przy huku armat, łunach pożarów i śmiertelnych zapasach walczących ze sobą wojsk.

Już nie na redutach, nie na szancach, lecz na okopach warszawskich, na ostatniej ościenu, u wylotów ulic podrogałkowych trwał teraz bój, bój krwawy, morderczy bój. Bój fal nieprzebranych, łomoczących tysiącami ostrzy, kul, piersi ludzkich z broniącymi okopów upiorami. Bój potężnych, karnych, prowadzonych dzielnie a wymyślnie dywizji ze szczątkami polskich brygad, z beładnemi, potarmoszonemi kupami żołnierzy. Bój strategii, bój siły, potęgi z rozpaczą.

Z jednej strony sztab Tolla, ciżba czujnych dowódców, generałów, świadomość ruchów, stopniowanie ataków, rezerwy, podniecanie ducha, karność — a z drugiej, z drugiej już ani odzewu bębna, ani sygnału trąbki, jeno mrok, ciemność, jeden szereg dla wszystkich rang, jedna szarża i dola jedna; z drugiej strony, poza tą wstęgą, płużącą krwią, poza Thermopylami, miasto wylekłe, klnące tych, co zań giną, no i sejm ciągle niezgodzony, no i most natłoczony gromadami uchodzących na Pragę patryotów, klubistów, mieszczuchów, ratujących worki złota, tchórzów wszelakich, nawet i co zabiegliwszych posłów.

Na warszawskich okopach żołnierze własnymi ciałami nowy budowali szaniec, na warszawskich okopach pulsa, serca zlewały się w pragnieniu wielkim, świętem ofiarnym — a tam, w murach Warszawy, marne szalało kłopotarstwo, tam w murach Warszawy męstwo, dzielność polskich batalionów poczytywano za nieczęśćcie, za lekkomyślność, która mieszkanców przyprowadzi jeno o tem cięższą kontrybucję, o rabunek, o rzeź może.

I pośród tego mrowia sobków była tylko garść takich, co darli się ku walczącym, co szli śmiało ku okopom, co nie baczili na kule, na granaty, co nie uciekali. Imię tej garści było sieroctwo. Ono to w uniesieniu bólu szukało tej samej śmierci, co w żałobie je pograżała. Ono oblegało ambulansowe wozy, ono miało i kubek wody dla umierających i ozwanie braterskie i posłuch na szept ubogich testamentów — ono jedynie nie pozostało głuchem.

O dziesiątej w nocy zaledwie armaty umilkły. Wojska szturmujące ustąpiły nieco i na odległość strzału karabinowego zaległy pod okopami.

Bem, który od strony cmentarza ewangelickiego dwiema bateriami trzymał w szachu cały korpus grenadyerski — odetchnął. Od godziny blisko

sko gonił ostatkiem amunicji — od godziny już tylko ośmioma armatami się opędał. Dowóz naboju ustał zupełnie. Ordynansi przepadali dotąd. Rozejm chwilowy zdał się Bemowi ocaleniem. Był teraz dwie baterie jeszcze wysunąć od lewego skrzydła — a tym zabezpieczyć spiżę — cha, to w pół godziny krzyżowym ogniem zmusi nieprzyjaciela do prawdziwego rozejmu.

Na ten koniec Bem, jeszcze pełen żaru bitewnego, ruszył do Dębińskiego. Dowódca wojskiego skrzydła — sprawiał ład między niedobitkami brygad Bogusławskiego, w ulicze podokopowej.

Na pierwsze ozwanie się Bema, Dębiński targnął się desperacko:

— Ani mowy, generale! Niema naboju, ładunków niema!

— Co, generał!

— Wywieźli zapasy już na Pragę! Arsenal główny do Modlina spławiają!

— Więc kapitulacja przyjęta, zatwierdzona?!...

— Wiem tylko, że w połowie dokonana!

(Dokończenie nastąpi).